

MOJE TRZY WIGILIE

W rodzinnym domu

Rok 1939. Do naszych Jodkiszek, osady wojskowej w powiecie lidzkim, wojska sowieckie wkroczyły 17 października. Dwa dni wcześniej w pobliżu szosy zatrzymali naszego ojca wracającego z końmi, z łąki. Ojca puścili wolno, tylko klacz zabrali, ale i ona wróciła po paru godzinach. Jakim cudem urwała się im trudno było zgadnąć.

Późnym popołudniem 17 października wkroczył do osady szwadron sowieckiej konnicy. Żołnierze rozlokowali się w szkole, a w naszym domu, położonym najbliżej szkoły, umieścili lazaret. Część koni uwiązali w stodole, resztę wypuścili na popas, na oziminy. Jodkiszki opuścili po trzech dniach. Pozostały po nich zniszczone pola, zdeптane zboże w stodole, spustoszony kurnik i zapaskudzone obejście.

Przez pierwsze trzy dni po ich wyjściu porządkowaliśmy szkołę. Nie wiedząc jakie zmiany nas czekają, bo nauczycieli nie było, a woźny niewiele wiedział. Wreszcie zjawił się nowy kierownik szkoły i zapowiedział, że na razie będziemy się uczyć po polsku ale codziennie będzie jedna, a może i dwie lekcje języka rosyjskiego. Kiedy wróciliśmy zbuntowani do domu mama nasze skargi ucięła krótko: uczcie się, ja wam pomogę

(znała dobrze język rosyjski), nigdy nie wiadomo czy się kiedyś nie przyda, a język wrogów trzeba znać. Taki był początek. My jako dzieci nie orientowaliśmy się w tym, co działo się naprawdę. Ojcowie nasi tylko spotykali się częściej i byli jakby zastraszeni. Raz tylko przez przypadek usłyszałam ich słowa: „Cudu nad Wisłą oni nam nie darują”.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Przeżywaliśmy przedświąteczne przygotowania, ale mama powiedziała nam, że w tym roku nie będzie uroczystych świąt, nie będzie też choinki, a na kolację nie będzie 12 dań. Nie mogłam pogodzić się z tym, że nie będzie choinki. Nie mówiąc nic nikomu poszłam do lasu, wycięłam malusienką choineczkę, postawiłam ją w kąciku pokoju i po swojemu przyozdobiłam ją. Zrobiłam to na złość mamie i nie potrafiłam zrozumieć dlaczego nie śpiewano głośno kolęd, dlaczego nikt nie pojechał na pasterkę.

Zrozumiałam to wkrótce. Już po Nowym Roku zjawił się w szkole jakiś politruk, nakazał zawiesić na ścianach portrety „dostojników” i zawiadomił, że lekcje będą się odbywały w języku białoruskim. Wytzymaliśmy zaledwie dwa tygodnie. Pewnego dnia zbuntowaliśmy się, rzuciliśmy tornistry w kąt, wy-

smarowaliśmy „dostojników” kredą i więcej do szkoły nie poszliśmy.

A potem nadszedł dzień 10 lutego. 23 doby podróżowaliśmy w bydłych wagonach i dwie doby w zakrytych plandeką samochodach. Przemarznięci i wygłodzeni dotarliśmy do Kazachstanu. Trzy rodziny z Jodkiszek pozostawiono w Stalińsku, a pozostałe zawieziono do oddalonego o 100 km Biestiubie. Czekala tam na nas ciężka praca w kopalniach złota.

Na wygnaniu w Kazachstanie

Zima 1942/43 była chyba najbardziej dokuczliwa. Mróz przekraczał 40 stopni, zawieje (buriany) szalały po stepie, że nie można było wychodzić z domów. Nocami przerażało wycie wilków. Podchodziły one pod domy i nierzadko rozszarpały bydło. W takich warunkach wychodzenie do pracy o godz. 4-5 rano do oddalonych kopalń, lub fabryk było straszne. Dla mnie dziecka, najgorsze było chodzenie nocami do kolejek, ustawiających się już wieczorem, aby móc wykupić „pajok” chleba. Oprócz zimna dokuczał głód. Zawieje nie pozwalały Kazachom wypuszczać się do oddalonych o około 100 km kolchozów żeby tam zakupić pszenicę, wymienianą potem za „czaj”, bez którego żaden Kazach nie potrafił się obejść. Więc i u nas czaj, który był nagrodą za „stachanowską” robotę leżał, a kupić za niego nie było

co. Kiedy nadeszła wiosna – przychodziła raptem, a po tygodniu zmieniała się w upalne lato – poszliśmy gromadą na oddalone o 12 km pola podmiejskiego gospodarstwa, żeby zebrać wysuszone mrozem ziemniaki, z których potem piekliśmy placki. Dodawaliśmy je do przynieszonej ze stołówki zupy. Zanim słońce wypaliło całkowicie trawę w wilgotniejszych miejscach można było znaleźć listki szczawiu, co było w naszym pożywieniu rarytasem. Ale wiosna tego roku również nie była łaskawa. Zaczęła się upałem, a w połowie kwietnia (w drugi dzień Wielkanocy) w przeciągu kilku godzin temperatura spadła poniżej 30 stopni i zawiąło tak strasznie śniegiem, że znów oddzieleni byliśmy od świata, a kto akurat był w stepie nie mógł już powrócić do domu. Wtedy to moja siostra Marysia z koleżanką, wyszły do oddalonego o 12 km gospodarstwa, gdzie pracowały w sezonie wiosenno-zimowym. Miała też z nimi pójść p. Łastowska nieco od nich starsza. Burza zaskoczyła dziewczyny jeszcze wśród budynków, ale pani Łastowska nie mogąc się na nich doczekać wyruszyła sama. Znalazł ją pies w bardzo ciężkim stanie i chyba tylko cud i jej modlitwy zdołały uratować ją od śmierci.

W maju nastąpił pobór mężczyzn do nowo tworzonej armii, którą nazwano im. Tadeusza Ko-

ściuszki. Poszedł również nasz ojciec. Wtedy po raz ostatni widziałam swego szkolnego kolegę Józka Jasińskiego. Jako najstarszy z rodzeństwa, żeby pomóc matce utrzymać młodsze rodzeństwo dopisał sobie 3 lata, co umożliwiło mu podjęcie pracy. Był więc w wieku poborowym. Miał wtedy 16 lat. Zginął w pierwszej bitwie.

Potem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczęło się wszystko polepszać. Brat Czesiek otrzymał pracę w „Prod-snabie” (zaopatrzenie spożywcze) gdzie miał dostęp do artykułów spożywczych. Jego praca polegała na: przynieś, wynieś, pozamiataj. Ze swoich obowiązków wywiązywał się doskonale. I tak: kiedy przyniósł do piekarni drzewo –wyniósł z niej kawał chleba, kiedy nosił do stółki wodę – wynosił zawsze coś do zjedzenia, a kiedy trzeba było przynieść z piwnicy warzywa to już było wiadomo, że w domu będą pożywne zupy. Najlepiej wywiązywał się z zamiatania magazynu zbożowego. Po każdym zmiataniu jego walonki ważyły po 5 kg każdy, a ja wiedziałam, że czeka mnie mielenie ziarna na żarnach i naturalnie dom będzie pachniał racuchami. Poza tym w sieni ryczała jałoweczka, którą mama otrzymała za „stachanowską robotę”, a na przydzielonym przez fabrykę kawałku pola ładnie obrodziły ziemniaki.

Nadeszły też długo oczekiwane

listy od brata Franka, który z Armią Andersa przedostał się do Iraku i od ojca rannego pod Lenino, przebywającego na leczeniu w szpitalu w Moskwie. Do Wigilii zasiadaliśmy do stołu zbitego ze skrzynki i wyciągniętej z pryczy deski – jak na tamte czasy dobrze zastawionego. Była ryba i barszcz z buraków, a nawet kutia, na którą mama przeznaczyła resztkę miodu otrzymanego w paczce jeszcze przed wojną sowiecko-niemiecką. Humory też nam dopisywały. Łamiąc się chlebem, kupionym na kartki, życzyliśmy sobie szybkiego powrotu do Polski. Po zjedzeniu kolacji zaczęliśmy wróżyć. Najpierw w sianie pod obrusem szukaliśmy „skarbów”. Brat Czesiek znalazł ziarno pszenicy, co miało oznaczać, że jego zaopatrzenie będzie trwało i w następnym roku. Ja znalazłam trawkę i próbowałam wszystkim wmówić, że jest to czterolistna koniczynka. Potem namówiliśmy Czeška żeby obiegł trzy razy dom i zajrzał przez okno na miejsce na którym siedział, to zobaczy swoją przyszłą żonę. Dom był długi, wiele czasu zajęło mu bieganie, a w tym czasie Marysia na jego siedzeniu postawiła miotłę, na nią narzuciła płaszcz i zawiązała chustkę. Czesiek był przekonany i do dzisiaj wierzy, że była to jego Lola.

W drodze powrotnej – Dniepropietrowsk

W dobrym nastroju powitaliśmy nowy 1944 rok. Był to naprawdę pomyślny dla nas rok. Pełen nadziei większego strachu i głodu. Otrzymywaliśmy już przesyłki z UNRR-y. Wprawdzie dużo tego nie było, ale i ta odrobina żywności i trochę odzieży ułatwiały przeżycie. Ojciec wrócił ze szpitala z kalectwem, a jako inwalida wojenny miał pewne przywileje, choćby to, że już nie musiał stać w kolejkach po wykupienie chleba, bo mógł kupować poza kolejnością, a ja mogłam spokojnie chodzić do szkoły (rosyjskiej, nauka języka rosyjskiego w Jodkiszkach okazała się przydatna). Nadzieja powrotu do Polski dodawała otuchy. Wiedzieliśmy, że to już jest ostatni rok naszej tułaczki. Najbardziej cieszyła się z tego mama. Tak rozradowanej nigdy jej nie widziałam. Wszystko co mogła wymieniała na mąkę, piekła chleb i suszyła suchary, topiła i soliła masło, suszyła jarzyny i cały czas śpiewała. Już we wrześniu wiedzieliśmy, że wyjeżdżamy stąd. Nie znaliśmy daty, ale czasu na przygotowanie było dużo.

I doczekaliśmy się! 28 października przy 20-stopniowym mrozie wyruszyliśmy samochodami do stacji kolejowej Akkul, oddalonej od Stalińska o 120 km. Tam załadowano nas do wagonów i w drogę. To już nie była taka sama podróż jak

kilka lat wstecz. Wagonów nikt nie zamykał, nikt nas z karabinami nie pilnował. Poruszaliśmy się swobodnie, a nawet przy dłuższym postoju pociągu można było oddalić się żeby coś kupić. Dawano też czasem chleb i gorącą zupę. Wprawdzie nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy, wiadomo było, że zbliżamy się do Polski.

Prawdziwy grom uderzył w naszą rodzinę za stacji w Charkowie. Na małej stacyjce pod Charkowem aresztowano Cześka. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero w Charkowie. Rodzice natychmiast wyruszyli na poszukiwania. Pieszko przeszli około 20 kilometrów. Kiedy tam dotarli powiedziano im, że ich syn został wypuszczony i odesłany do transportu. Znow wędrowali pieszo tą samą drogą. Zmęczenie ponad siły po to tylko by stwierdzić, że Czesiek jednak nie wrócił sprawiły, że mama mocno się rozchorowała. Czesiek wrócił dopiero następnego dnia. Kiedy powiedzieliśmy mamie o jego powrocie, zareagowała całkiem obojętnie: Tak? A gdzie on był? Mama wstała z łóżka po czterech dniach, ale to już nie była ta sama osoba.

4 grudnia dojechaliśmy do Dniepropietrowska, gdzie wylądowano nas z wagonów i 9 grudnia przewieziono na drugi brzeg Dniepru. Zatrudniono nas w gospodarstwie należącym do fabryki broni im. Woroszyłowa.

Mama ciągle chorowała. Silna nerwica doprowadziła do rozstroju żołądka i osłabiła serce. Potem wystąpiła silna gorączka i tyfus. Po kilku dniach gorączki zachorowała siostra Marysia. 22 grudnia odwieziono je do szpitala w Dniepropietrowsku. Pojechał też z nimi ojciec. A my?

24 grudnia w dzień wigilii przyniosłam ze stołówki ronderek zupy i kawałek chleba i oboje z Czeskiem zjedliśmy kolację. Nawet nie wspomnieliśmy poprzednich wigilii, jedliśmy w milczeniu połykając łzy.

25 grudnia zmarła mama. 5 stycznia zabrano do szpitala Czeska. 14 stycznia zmarła Marysia. Czesiek na szczęście ratowany lekami dostarczonymi do szpitala przez Związek Patriotów Polskich uniknął amputacji nogi po powstałym zaskrzepie i po miesięcznym pobycie w szpitalu wrócił do nas.

Było to dziwne, że nikt inny nie zachorował na tę chorobę. Ani z przybyłych z nami Polaków, ani z naszego otoczenia.

Następną już prawdziwą wigilię urządziłam w roku 1951 kiedy moja córeczka miała dwa miesiące.

Bolków, 24 stycznia 1997 roku